GŁOS NARODU

WINOWAJCY.

GALICJA W ROKU 1846.

(Ciąg dalszy).

Gdyby takich hajdamackich starostów poskramiało było przynajmiej poczucie odpowiedzialności wobec najwyższego szefa władzy krajowej, generał-gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda, tak znanego z ludzkości i dobroczynności, że nikt przypuścić nie mógł, aby tolerować i osłaniać zechciał rozpętanie krwiożerczych instynktów chłopstwa. Tutaj właściwie pokazuje się, jak nadużyta została ta firma przez występną biurokrację. Wyszło bowiem z gubernium lwowskiego, gdzie br. Krieg wszechwładnie panował, już po pierwszych chybionych ruchach powstańczych, po pierwszych mordach w Tarnowskiem, o których do Lwowa doszła może jeszcze nie dość dokładna co do szczegółów, ale niezawodnie urzędowa wiadomość (23. lutego 1846 roku), okólnikowe rozporządzenie do szesnastu starostów tej treści, że „z powodu wybuchłego już powstania w kilku cyrkułach, poleca się urzędom cyrkularnym wysyłanie urzędników do wsi, aby wzywali poddanych do współdziałania, do stawiania oporu powstańcom i do ich chwytania“. Dziś polecenie takie mogło-by wydać się uzasadnionem ze stanowiska władzy, uprawnionej, nawet obowiązanej do wezwania pomocy lojalnych żywiołów dla stłumienia ruchu powstańczego. Ale nie zapominajmy o tem, że ten lojalny żywioł chłopski był przedtem przez biurokrację programowo i systematycznie podniecany przeciw szlachcie, jako swojej dręczycielce pańszczyźnianej, że dalej do współdziałania w tłumieniu ruchu używali chłopstwa ci sami komisarze cyrkułowi, którzy przedtem zjeżdżali do wsi na komisje, i na każdym kroku objawiali dążność do pogłębiania przepaści między dworem a gromadą. W danej chwili zatem powyższe rozporządzenie gubernialne stanowiło w oczach starostów i komisarzy, skłonnych do hajdamackiej akcji represyjnej, rozgrzeszenie *a priori* z wszelkich aktów samowoli.

Nie ocknęło się gubernium nawet wtedy, gdy — biorąc nawet na uwagę ówczesne prymitywne, a nadto jeszcze wypadkami wyjątkowo utrudnione, stosunki komunikacyjne, — już stanowczo o tem wiedzieć musiało, że w kraju krew się leje nietylko wśród walki otwartej, która nie pozwala z góry ani przewidzieć, ani oznaczyć miary i stopnia surowości represyjnej, lecz wśród rzezi, niegodnej państwa cywilizowanego, w połowie XIX stulecia.

Już w pierwszych dniach rzezi tarnowskiej, starosta sąsiedniego cyrkułu, Sądeckiego, dokąd także zaraz wtargnął prąd hajdamacki, przedstawił prezydjum gubernialnemu „obraz okrucieństw zbiegającego się chłopstwa z prośbą o wysłanie wojska“. Załatwienie gubernialne tej relacji ujęte zostało w utartą, ale w tym wypadku wprost grozą przejmującą formułę biurokratyczną: *„ad acta“*. Niechżeż więc za to dziś sprawa ta przejdzie — do aktów trybunału historji. Niemal równocześnie wpłynęła druga relacja od starosty cyrkułu Jasielskiego, także sąsiadującego z Tarnowem, „z wielką prośbą o pomnożenie posterunków wojskowych dla poskromienia rozbestwionych tłumów chłopskich i z onajmieniem, że sam starosta, wskutek wrażeń, doznanych na widok nieszczęścia, widział się zniewolonym oddać kierownictwo urzędu pierwszemu komisarzowi cyrkułowemu“. Gubernium nie było tak

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z 8. lutego 1903 roku.

wrażliwe, jak starosta jasielski, bo nie zarządziło pomnożenia posterunków. Starosta lwowski, Milbacher, który pewnie wtajemniczony był w zamysły i plany gubernialne z blizkiej osobistej styczności z prezydentem, br. Kriegem, wystosował doń w drugiej połowie lutego 1846 roku pismo, w którem donosząc, że Samborski sąd karny zamierza wdrożyć śledztwo przeciw sprawcom mordów w Horożanie, przedstawia potrzebę „surowego wzbronienia takich kroków niestosownych, mogących pociągnąć za sobą szkodliwe następstwa". Równocześnie prezydent lwowskiego sądu apelacyjnego Enzendorfer, więc głowa sądownictwa, najwyższy w kraju stróż wymiaru sprawiedliwości, odniósł się do prezydjum gubernialnego wprawdzie bez tak wyraźnego podniesienia obawy przed „szkodliwemi następstwami" ścigania zbrodniarzy, ale niezawodnie z pokrewnych tej obawie motywów politycznych z przedstawieniem, że należało-by porozumieć się co do traktowania „nadużyć", przez chłopstwo popełnionych. Prezydjum gubernialne, załatwiając oba pisma, Milbachera i Enzendorfa, „pouczyło 28. lutego 1846 starostów i delegowanego do dochodzeń karnych radcę sądowego, Wotawę, że „zabójstwa, skaleczenia i inne gwałty, popełnione przez poddanych przy odpieraniu powstańców i celem ich odstawienia, mają być uważane za akt obrony koniecznej". W chwili, gdy w ten sposób we Lwowie myślano tylko o zasłonieniu zbrodniarzy przed odpowiedzialnością kryminalną, a żądanie wojskowej interwencji zbywano milczeniem, wiedzieli już wszyscy, że na żadnym punkcie organizacja powstańcza nie doprowadziła do niebezpiecznego wybuchu, że nawet w cyrkule Tarnowskim, najwięcej zagrożonym, chłopstwo od pierwszej chwili nie znajdowało się w stanie obrony koniecznej, lecz było stroną atakującą, i to atakującą garstkę szaleńców, z góry na doszczętną zagładę skazanych. (C. d. n.)

O. WACŁAW

szkic biograficzny

przez

O. ANIOŁA.

(Dokończenie.)

Całe domy pod okiem jego przybierały nową postać domów chrześciańskich. Wszystko to podnosiło go na duchu i zachęcało do dalszej pracy. Szczególniej widok mężczyzn wykształconych, napełniających kościół — ożywiał go bardzo.

Utrudzony ciągłą pracą od czasu do czasu udawał się na odosobnienie do Czarny lub na Bielany i tam przez czytanie i rozmyślanie oczyszczał swą duszę z pyłu (jaki z przestawania ze światem na niej zwykle osiada) i sposobił się do nowych prac na chwałę Bożą.

O. Wacław odznaczał się zawsze gorącą miłością, synowską ufnością i serdecznem nabożeństwem do N. Marji Panny. Miał mnóstwo modlitw któremi czcił Ją codziennie, ustawicznie na ustach, nigdy nie rozstawał się z Jej medalikiem; Jej obrazkami był otoczony i wszędzie Jej cześć jako królowej Polski rozszerzał. Wyraźnym tego dowodem cały szereg ku Jej chwale wydanych dziełek. Dnia prawie każdego spieszył z notatką w ręku, kawałkiem suchego chleba do Bibljoteki Jagiellońskiej i wiele tam czasu przepędzał szukając materjału do prac swoich literackich. A zebrawszy szkice potrzebne, w cichej celce do późnej nocy a nieraz aż do rana otoczony książkami, pisał liczne dziełka. Owocem tej niezmordowanej mrówczej jego pracy z książek ku czci N. Panny przytaczam najważniejsze:

1. Statua Najśw. Marji Panny przed kościołem OO. Kapucynów w Krakowie (ustęp z czasów Konfederacji Barskiej) 1894.
2. O cudownym obrazie Matki Bożej w kościele OO. Karmelitów w Białyniczach. 1894.
3. Wiadomość historyczna o cudownym obrazie Najśw. Panny Marji Łaskawej w kościele katedralnym we Lwowie. Kraków 1896.
4. N. P. Częstochowska. 1896.
5. O cudownym obrazie N. P. Berdyczowskiej. Kraków 1897.
6. O cudownym obrazie N. P. M. Ostrobramskiej. Kraków 1897.
7. O cudownym obrazie N. P. M. w Karmelu krakowskim na Piasku. 1898.
8. Wiadomość historyczna o cudownym obrazie Matki Bożej w Rokitnie w Wielkopolsce. Kraków 1900.
9. Dzieło dziesięcioletniej pracy, odznaczone medalem złotym na kongresie katolickim w Fryburgu w r. 1902 p. t. „O cudownych obrazach w Polsce Przenajświętszej Matki Bożej, wiadomości bibliograficzne i konograficzne" i wiele innych.
10. Cudowne obrazy Matki Bożej w Wilnie. Kraków 1902.

A w każdej z tych prac przebija głęboka wiedza historji, kwiecistość stylu, sumienność w wykonaniu. Rozczytawszy się w nich, na każdej prawie karcie dopatrzysz się jęku duszy wołającej:

„Królowo Polskiej wśród cherubinów
Usłysz wołanie niewoli synów,
Co się do tronu Twojego wzbija,
Pociesz, podźwignij, Twój naród Maryja."

Do pism treści ascetycznej zaliczyć można cały szereg kazań miewanych w przeciągu 22 lat pracy kapłańskiej, po całej Galicji. Liczne przemówienia przy ślubach, pierwszej komunii św. nawróceniu z protestantyzmu, z których prawie wszystkie ogłoszone były w swoim czasie drukiem.

Tu również dołączyć można dwie małe starannie wydane książeczki ułatwiające sposób słuchania mszy św.

Najdźwięczniejszą struną serca jego była miłość gorąca biednej, osierociałej, rozdartej Ojczyzny. Kochał on Polskę płomiennem sercem, bo był szczerym, dobrym i prawym synem Ojczyzny; ale nad to jeszcze, bo widział w niej, jako drugi Skarga ręką Opatrzności wytknięty obowiązek, wskazaną dążność do urzeczywistnienia w życiu społecznem i politycznem zasad sprawiedliwości i dobra ludzkości; — bo Polska dla niego była ogniskiem życia wyższego, zacniejszego — słowem jednem *miłował ją, poświęcił się dla niej, służył jej w sumiennem przekonaniu, że tem samem służy prawdzie, ludzkości i Bogu.*

A kiedy oręż z żelaza po kilkakroć zawiódł, rozumiał O. Wacław, że trzeba wydobyć z pochwy oręż ducha, ku obronie i spotęgowaniu życia narodowego. On to był właśnie jednym z najdzielniejszych chorążych, co podnieśli ten sztandar. Nie dosyć mu było odczytywać pleśnią pokryte pergaminy, pomny, że historja jest nauczycielką życia i światłem prawdy, starał się poddawać czyny ludzkie nieubłagalnego trybunału sądowi tj. sumienia, śledzić choroby narodu i przyczyny upadku, snuć z przeszłości naukę dla teraźniejszości i przyszłości.

Trzeba tu było odsłonić niejedną ranę, zerwać niejedno złudzenie — a lubo nie podobało się to ludziom krótkiego wzroku i ciasnego serca — on jednak niezachwiany szedł dalej tąż drogą, łącząc ze sprawiedliwością sędziego troskliwość lekarza. W tym to więc duchu powstaje nowa gałąź prac jego literackich, a mianowicie: „Kraków w roku 1794“ — i pod pseudonimem Bronisława Szwarca, przyjaciela z wygnania „Warszawa w roku 1794“. Dzieło trzytomowe — a wreszcie „Pamiątka 200-letniej rocznicy przybycia OO. Kapucynów do Krakowa.“ I dwa mniejsze: „Biografia Świdzińskiego“ — „Przegląd 50. letniej pracy literackiej Eug. Heleniusza“.

Bolał ciężko, że ojczyzna bywa poniewierana przez obcych, że w domu jej tak jeszcze ubogo, że synowie jej kłócą się między sobą — a niektórzy chodzą błędnymi szlakami. Zadaniem więc jego było bronić Matkę od wrogów i pomnożyć jej duchowe mienie; synów, zaś godzić między sobą, a zbłąkanych wracać na lepsze tory. To zadanie spełniał przez całe życie z wielkiem zaparciem. Więc chętnie siał ziarno słowa Bożego, przy każdym *obchodzie narodowym*, na zbolałą rolę skołatanych jarzmem niewoli współbraci. A w tych kazaniach patrjotycznych zachęcał do zgody, miłości, spełniania swych obowiązków, budząc nadzieję w opiekę Królowej Polski, która nigdy nie da zginąć narodowi naszemu, ale wyprosi chwilę jego zmartwychwstania.

A patrząc dalej proroczem okiem na przyszłość pokolenia młodego, gorliwie pełnił obowiązki katechety w kilku żeńskich pensjonatach, już też dawał w wielu domach prywatnych naukę religii, historji i literatury, budząc przy tem ducha Bożego i rozpalając młodocianne serduszka iskrą miłości ukochanej Polski. — Szczególniejszą opieką otaczał małe dziateczki, często je tuląc do swego niewinnego serca — rozdając obrazki, medaliki, a uboższym bułeczki. Dla nich to napisał w roku 1897 i wydał jako upominek na „gwiazdkę“, nakładem Krak. Tow. „Szkoły ludowej“ Koła Pań — rzewny obrazek p. t. „Najnieszczęśliwsze dziatki i najnieszczęśliwsze matki“ gdzie zestawia los biednych dziatek betleemskich zabijanych przez Heroda przy narodzeniu Chrystusa — bezlitosnem pastwieniem się i mordowaniem polskich dziateczek w Warszawie r. 1794. przez dzikiego Suworowa.

On kochał Ojczyznę, ale nie cierpiał tej brzydkiej obłudy, co okryta płaszczem patrjotyzmu, szuka tylko własnych zysków i dogadzania swej ambicji. Miłował Polskę i nie wyrzekł się aż do śmierci nadziei odzyskania jej niepodległości. Wierny swoim ideom do końca stawał twardo w ich obronie, jak ów Cherubin strzegący wrót raju.

Nie trzeba jednak myśleć, aby O. Wacław oddany będąc pisaniu, usuwał się zupełnie od życia wpólnego. Owszem, cela jego była zawsze otwarta dla każdego i chętnie rozmawiał z braćmi, którzy się często zbierali u niego, wiedząc że i jego tem rozerwą i sami wiele skorzystają, bo zawsze tam można było usłyszeć coś nauczającego. Nadsyłano mu wiele ksiąg i pism tutejszych i zagranicznych, religijnych i świeckich; czytał wiele i umiał z każdej rzeczy skorzystać i zdrowy sąd o wszystkim wydać, przeto od niego można było dowiedzieć się o wszelkich kwestjach religijnych, narodowych, o wszelkich prądach w piśmiennictwie, o wszelkich wypadkach znaczniejszych i więcej można było skorzystać, niż gdyby kto mógł sam to wszystko przeczytać, bo tam się miało gotową samą esencję i to jeszcze poglądem Bożym na rzeczy rozjaśnioną. — Przytem jako doskonały znawca serc ludzkich, umiał do każdego stosownie przemówić, pocieszyć, zachęcić, a wszystko z taką miłością, delikatnością i słodyczą, że każdy odchodził od niego rozweselony. Chociaż górował umysłowo nad wszystkimi i mógłby ich jak dzieci traktować, jednakże zawsze z szacunkiem i poważaniem był dla każdego. Miał serce otwarte dla wszystkich i wszystkich przyjmował tak, jakby niemiał innego zajęcia; każdemu oddawał cześć należną i dla wszystkich był uprzejmy z tym wdziękiem, jaki cechuje zwykle wykwintnie wychowanych.

Lubo w życiu nieraz ciężko niedomagał i był wielce nieraz osłabiony, jednak zawsze mu towarzyszyła dziwna przytomność umysłu a nawet dowcip i swoboda, która czyniła towarzystwo jego każdemu miłem. Wszyscy nasi polscy biskupi otaczali go jako ascetę i męczennika, łaskawą przyjaźnią do ostatniej chwili; — wszy-

scy prawie znakomici rodem i nauką nawiedzali go i byli z nim w korespondencji.

Pozostaje wreszcie wspomnieć o cnotach zakonnych zmarłego O. Wacława, którymi przez całe życie przyświecał swym braciom. Był wielkim miłośnikiem ubóstwa od samego początku Ubiór jego był tak prosty i gruby, że zachowali go bracia jako relikwie świadczące o tej surowości. Mieszkanie jego tak szazupłe, że zaledwie kilka osób w niem się pomieścić mogło; naokoło ścian półki pełne książek rozmaitej treści i języków, maluczki stolik, jedno krzesełko, a między półkami kilka zbitych desek, to niby łóżeczko ze słomianym workiem pod głowę. W umartwieniu ciała był również surowy. Pięćdziesiąt kilka lat zachowywał wieczny post, nie używając nawet ryb ani jaj, żywił się samemi jarzynami, owocami i mlekiem — a to wszystko, aby nie czuć smaku przy jedzeniu zaprawiał octem, musztardą, pieprzem.



MAURYCY MAETERLINCK
słynny poeta francuski, autor „Monny Vanny".

Całe życie jego było ciągłem ćwiczeniem się w cierpliwości. Dla większych zasług i udoskonalenia tego sługi swego, dał mu Bóg tak czuły organizm, że wiele rzeczy jego zdrowiu szkodziło i to było ciągłą okazją do ćwiczenia się w cierpliwości. Pobożność jego od pierwszej chwili wstąpienia była odznaczającą. Wiele godzin strawił na modlitwie myślnej i przed Przenajśw. Sakramentem. Pacierze kanoniczne z niezmierną dokładnością i zewnętrznem uszanowaniem odprawiał i nigdy ich nie przerywał, nie dając się nigdy przekonać o tem, że teologia uważa słabość za dostateczny powód do ich przerwania. Zawsze miał jakieś codzienne domowe pielgrzymki; nawiedzając statuę lub jaki obraz Matki Boskiej, przed którą zwykle przyklękał dla otrzymania błogosławieństwa i nóżki Jej całował. Wszystkich zachęcał w kazaniach i pismach do miłości N. Marji Panny. Tak walczył wszędzie o Jej cześć — lecz na jego tarczy ni przyłbicy — nie lśniły szumne, brzmiące, hałaśliwe godła: Wziął on za swoje hasło cześć Boga-Rodzicy; Ona go do zwycięztwa, do tryumfu wiodła.

Od roku już prawie a względnie od śmierci przyjaciela ś. p. O. Józefa kapucyna kapelana i towarzysza męczenników polskich w r. 1863. począł coraz bardziej upadać na siłach. Życie bardzo surowe, a przytem choroba raka w pęcherzu w połączeniu z cierpieniem kiszek, niszczyła coraz szybciej jego znękany organizm. Z dniem każdym uczuwał ubytek sił. Łamiąc się z nami opłatkiem prosił, aby po śmierci jego pamiętano o nim w modlitwach. W dzień Bożego Narodzenia trzykrotną Ofiarę Mszy św. uczcił w kościele P. P. Karmelitanek na Wesołej, których był długie lata kierownikiem duchownym. Nowonarodzone Dziecię Jezus — a „Chwała Bogu na wysokościach" płynąca z jego anielskiej duszy odbiła się echem o niebios sklepienie. I zapragnął Pan aby już obchodził Imię Jego w niebieskim Sjonie.

Powróciwszy do domu położył się do łóżka, z którego już więcej wstać nie miał. Przygotowany był na śmierć i jej się nie lękał — w kilka dni później odbył spowiedź z całego życia przed O. Rafałem Kalinowskim i czekał wśród strasznych cierpień końca blizkiego.

Po raz ostatni przyjął z rąk moich we czwartek komunię św. Czuł się dnia tego jeszcze wesołym, miał zamiar dnia następnego odprawić Mszę św. Bóg inaczej zarządził. W piątek rano poczęła gasnąć lampka zasłużonego żywota. Otoczony wieńcem braci z wzrokiem utkwionym w Tę, która mu towarzyszyła w pochodzie na Sybir zasnął w Panu — dnia 9. stycznia o godzinie 8. rano.

Toż idzie dziś na cmentarz krakowski Matka Ojczyzna smutna, blada, zapłakana. Nie niesie mu wieńca ale otwiera trumnę, składa gorący macierzyński pocałunek na czole zmarłego i coś doń z cicha szepce: Synu mój drogi, byłeś przez całe życie moją chlubą i pociechą, byłeś perłą wśród moich Synów. To też dziś opłakuję Twą stratę ze łzami, a żegnając Cię składam podziękę za wszystko, coś dla mnie uczynił, za Twą naukę, za Twe sprawy publiczne, za Twe cierpienia. Ja ciebie nigdy nie zapomnę, a te kamienie, które miotali na ciebie niektórzy synowie, patrz jam je przemieniła w klejnoty, by ozdobić nimi koronę, która przez wieki będzie błyszczeć na Twej skroni.

Idzie i kościół św. z kardynałem swoim i prałatami na czele — daje również zmarłemu pocałunek miłości i mówi: Po ciężkich walkach — za to żeś mię kochał i żeś mi służył wiernie w całem życiu, składam w Twej trumnie gałązkę palmową, jako godło zwycięstwa — spij w pokoju na tej ziemi którąś tak czule kochał, a dusza Twoja niech ogląda chwałę Pańską.

Z naszych prywatnych galeryj.

ZBIORY
Dra Stanisława Larysz Niedzielskiego
w Śledziejowicach

Jedenaście kilometrów od Krakowa, na wschód ku Niepołomicom a o dwa kilometry od Wieliczki, leży śliczna na wskróś polska siedziba *Śledziejowice,* otoczona do niej należącemi wioskami.

Już to przyznać trzeba, że Kraków obfituje, jak mało która stolica, w piękne widoki i okolice, a jakże różne i tak do siebie niepodobne!

Po drugiej stronie toru kolejowego na północ, biegną puste faliste pola uprawne, obsiane pszenicą i żytem. Wśród wiosek znajdujących się tu w zacisznych wąwozach, ponad któremi górują wierzchołki drzew, zaś nad niemi jeszcze wyżej strzelają wieżyczki wiejskich kościołów ze złocistym krzyżem — widzi się gdzieniegdzie dwory, porozrzucane w kępach drzew, ukryte w zieleni. Z tąd przepyszny widok na Kraków i hen aż na złomy poszarpanych Tatr, pobielonych śniegiem.

Od Krakowa na wschód okolica zmienia się zupełnie — dolina Wisły wysłana runią obszernych pastwisk i łąk rozszerza się znacznie, widoki rozleglejsze, z białemi domkami i czerwonemi budynkami dworskiemi. Okolica wesoła, gwarna, cywilizowana, uśmiechnięta może pozornym dobrobytem. Wśród takiej to okolicy



Widok dworu w Śledziejowicach od południowego zachodu.

Zbliżając się ku Krakowu od zachodu, minąwszy Oświęcim, wjeżdża się w okolicę leśną. Po przez wierzchołki drzew, przez przecinki widnieją zdala niebieskie góry przedkarpackie pokryte lasami. Zbliżając się ku Krzeszowicom dźwiga się teren w potężne pagóry, na grzbiecie których rozsiadły się ruiny wspaniałego Tenczyna, ruiny te od strony drogi żelaznej obrosłe są smerekami, wśród których bieleją gdzie niegdzie wapienne skały. Mijając skałę Kmity, za którą schowały się *Balice i Mników,* przechodzimy ogród w Niegoszowicach ładnym pałacykiem, mający naprzeciw lesiste a strome upłazy, kończące się Panieńskiemi skałami, wśród których w zaciszu leży prześliczna Wola a wreszcie przed samym Krakowem wznosi się mogiła Kościuszki. Okolica ta jak wszystkie lesiste jest więcej dziką i pustą.

z widokami na pagórki Proszowskie Królestwa Polskiego aż do Koniuszy leżą Śledziejowice w pośrodku ślicznego parku. Pośród zieleni odwiecznych dębów, świerków i innych pod względem botanicznym rzadkich ogromnych drzew, stoi staropolski dwór ze znamiennym gankiem opartym na czterech potężnych ciosowych słupach. Bez stylu, bez pretensji, a jednak taki swojski, z taką wybitną polską fizjonomją. czuć, że stoi na swojej polskiej ziemi i z niej wyrósł. A jak sumiaste sarmackie wąsy wyparte zostały przez bokobrody, faworyty, baczki i w klin ścinane brody, tak i staropolski swojski dwór wypierają dziś wille i pałacyki stawiane w cudzoziemskim, bezdusznym, banhofowym stylu, tak, że wkrótce stanie się on rzadkością i muzealnym okazem.

CONON DOYLE.

TAJEMNICA BASKERVILLE'ÓW

Dziwne przygody Sherlocka Holmes.

Przekład z angielskiego

EUGENII ŻMIJEWSkIEJ.

(Ciąg dalszy).

Trzeba było tę rzecz sprawdzić. Ale w jaki sposób? Przedewszystkiem należało dowiedzieć się od pocztmistrza w Grimpen, czy telegram został oddany do własnych rąk Barrymora.

Po południu sir Henryk chciał załatwić korespondencję: mogłem udać się do Grimpen. Był to spacer niedaleki, droga wiodła brzegiem trzęsawiska.

W Grimpen były tylko dwie murowane budowle: austerja i dom doktora Mortimera. Pocztmistrz utrzymywał jednocześnie sklepik korzenny.

— Naturalnie — odparł na moje pytanie — depesza została wręczona panu Barrymore, stosownie do życzenia.

— Kto ją wręczył?

— Mój chłopak. Słuchajno, James, wszak w zeszłym tygodniu oddałeś telegram do rąk pana Barrymore w Baskerville-Hal?

— Tak, ojcze.

— Do rąk własnych? — spytałem.

— Był wtedy na strychu, więc nie mogłem oddać mu do rąk, ale wręczyłem depeszę jego żonie, która powiedziała, że ją zaraz zaniesie mężowi.

— Czy widziałeś pana Barrymore?

— Nie, proszę pana; mówiłem już, że był na strychu.

— Jeżeliś go nie widział, to skądże wiesz, że był na strychu?

— Jego własna żona musiała chyba wiedzieć, gdzie się obraca — wtrącił pocztmistrz. — Czyżby nie dostał depeszy? Jeżeli zaszła pomyłka, niech sam Barrymore wniesie skargę.

Na niby się zdały dalsze pytania. Mimo wybiegu Holmesa, nie pozyskaliśmy pewności, że Barrymore nie był wtedy w Londynie. On, który ostatni widział sir Karola żywym, chciał może pierwszy zobaczyć swego nowego pana.

Ale jaki mógł mieć cel w prześladowaniu rodziny Baskerville?

Przypomniała mi się dziwna przestroga, wycięta ze wstępnego artykułu *Timesa.* Kto ją przesłał? On, czy też ktoś, kto chciał pokrzyżować jego plany?

Może kamerdyner chciał zabezpieczyć sobie w dalszym ciągu spokojne i niezależne stanowisko w pałacu, w którym podczas nieobecności właścicieli był prawdziwym panem?...

Ale taki cel byłby niedostateczną pobudką do zbrodni.

Sam Holmes powiadał, że nigdy jeszcze nie zdarzyła mu się sprawa tak zawiła. Pragnąłem już jak najprędzej oddać ją w ręce mego przyjaciela.

Tok moich myśli został przerwany odgłosem kroków. Ktoś biegł za mną i wołał mnie po nazwisku.

Odwróciłem się, pewien, że ujrzę doktora Mortimer, lecz ku mojemu zdziwieniu, zobaczyłem nieznajomego.

Był to mężczyzna niewielkiego wzrostu, o twarzy wygolonej, o włosach ciemnych, gładko przyczesanych; mógl mieć lat trzydzieści parę do czterdziestu. Przez ramię zwieszała mu się puszka, w jednej ręce niósł siatkę do łowienia owadów.

— Daruje mi pan moją natarczywość, doktorze Watson — rzekł, podbiegając do mnie zdyszany — ale tu, na tych piaskach, żyjemy bez ceremonji. Prezentacje odbywają się naturalnie. Słyszał pan już o mnie od naszego wspólnego przyjaciela, doktora Mortimer. Jestem Stapleton z Merripit House.

— Poznałbym pana po siatce — odparłem — bo wiadomo mi, że pan Stapleton jest naturalistą, ale w jaki sposób pan mnie poznał?

— Byłem u Mortimera i pokazał mi pana przez okno. Ponieważ idę w tę stronę, więc dogoniłem pana. Czy sir Henryk już wypoczął po podróży?

— Najzupełniej.

— Obawialiśmy się tu wszyscy, że nowy baronet, po tragicznej śmierci sir Karola, nie zechce zamieszkać tutaj. Spełnia ofiarę, zagrzebując się w takiem ustroniu; ale okolica na tem zyska i powinna mu być wdzięczną. Spodziewam się, że sir Henryk nie żywi przesądnych obaw?

— Jest na to zbyt rozumny.

— Ma się rozumieć, słyszałeś już pan legendę o psie, prześladującym tę rodzinę?

— Słyszałem.

— To dziwna, jak tutejsi włościanie są łatwowierni: każdy z nich gotów przysiądz, że widział psa na własne oczy.

Pan Stapleton mówił to z uśmiechem, ale z oczu jego było widać, że przywiązuje wiarę do tych pogłosek.

— Owa legenda oddziałała na wyobraźnię sir Karola — ciągnął dalej — i pewien jestem, że sprowadziła śmierć nagłą.

— W jaki sposób?

— Sir Karol był tak zdenerwowany, że ukazanie się psa mogło go zabić. Zdaje mi się,

że ujrzał istotnie jakieś dziwne stworzenie w Alei Wiązów... Obawiałem się zawsze anewryzmu serca, bo byłem bardzo do niego przywiązany.

— Skąd pan wiedział o wadzie serca?

— Od mojego przyjaciela, doktora Mortimer.

— Zatem sądzisz pan, że jakiś pies ścigał sir Karola i że biedak zmarł skutkiem strachu?

— Czy pan znasz jaki inny powód śmierci?

— Dotychczas nie wyprowadzam wniosków.

— A pan Sherlock Holmes czy wyraził już swój pogląd na tę sprawę?

Zdziwiło mnie takie pytanie. Można je było wziąć za zasadzkę, ale twarz mówiącego była chłodna i obojętna, więc moje podejrzenia musiały pierzchnąć.

— Nie dziw, że znam pańskie stosunki ze słynnym detektywem — rzekł pan Stapleton. — Wszak wiadomo powszechnie, iż jesteście w przyjaźni ze sobą. Gdy doktor Mortimer wymienił mi pańskie nazwisko; domyśliłem się od razu, że pan Sherlock Holmes wziął w swoje ręce tę sprawę i że pan tu przybyłeś z jego ramienia. Rzecz naturalna, że chciałbym się dowiedzieć, co pan Sherlock Holmes o tem myśli.

— Nie potrafię pana objaśnić w tym względzie.

— Czy zamierza odwiedzić naszą okolicę?

— Chwilowo nie może opuścić Londynu; ważniejsze sprawy pochłaniają czas jego i uwagę.

— Szkoda wielka! Możeby wyświetlił tę tajemnicę... Gdybyś pan potrzebował wskazówek, gotów jestem służyć. Może mi pan powie, w jaki sposób zamierzasz pan prowadzić sprawę, a kto wie, czy nie mógłbym udzielić panu pomocy...

— Przybyłem tu w odwiedziny do mego przyjaciela, sir Henryka, i nie potrzebuję żadnej pomocy.

— Jesteś pan ostrożny. To się chwali! — rzekł Stapleton — a ja zostałem ukarany za natręctwo i nie ponowię już propozycji, uczynionej ze szczerego serca i w najlepszej chęci.

Doszliśmy do ścieżki, wiodącej przez piaski i trzęsawiska. Na prawo sterczał odłam skały; po za nią, w pewnej odległości, unosił się dym z komina.

— Ta ścieżka prowadzi do Merripit-House — rzekł Stapleton. — Może mnie pan zechce zaszczycić swojemi odwiedzinami?

Miałem ochotę odmówić ze względu na sir Henryka, ale przypomniałem sobie, że jest zajęty korespondencją; nie mogłem mu dopomódz, a z drugiej strony, Holmes kazał mi poznać sąsiedztwo. Więc przyjąłem zaproszenie pana Stapleton i weszliśmy razem na ścieżkę.

— Dziwne to trzęsawisko, mówił, wskazując mi olbrzymią płaszczyznę, pokrytą piaskami i trawą — dla nieoswojonego oka wydaje się monotonnem i smutnem, ale kto się przyzwyczai do tych fal piaszczystych, dla tego mają one urok nieprzeparty, a zawierają tyle tajemnic!...

— Pan je zgłębiłeś?

— Mieszkam tu od lat dwóch zaledwie. Tutejsi mieszkańcy mogliby mnie nazwać obcym przybyszem. Osiedliliśmy się tutaj wkrótce po przybyciu sir Karola, ale moje upodobania przyrodnicze skłaniają mnie do ciągłych wędrówek, to też poznałem każdą niemal piędź ziemi. Sądzę, że nikt tutaj nie zna jej lepiej odemnie.

— Czy okolica jest tak trudną do poznania.

— Bardzo trudną. Widzisz pan, naprzykład, tę rozległą równinę na północ, obramowaną wzgórzami. Czy dostrzegasz pan co niezwykłego?

— Widzę, że możnaby galopować po tej równinie.

— Wielu już przypłaciło życiem taką chętkę. Czy widzisz pan zielone plamy, któremi usiana jest ta płaszczyzna?

— Są to zapewne kępki traw.

Stapleton roześmiał się.

— To tak zwane Grimpen-Mire,*) błota nieprzebyte. Jeden krok fałszywy, a śmierć pewna. Niedalej, jak wczoraj, widziałem na własne oczy, jak zapadł się młody źrebak. Pochłonęło go trzęsawisko. Niebezpiecznie jest zapuszczać się tutaj nawet wśród letniej suszy, ale podczas jesiennych roztopów miejsce to jest cmentarzem, a jednak potrafię przejść i wrócić bezpiecznie przez sam środek bagna. Widzisz pan?... znowu jakiś źrebiec ugrzązł w błocie...

Istotnie dostrzegłem coś szamocącego się; po chwili wysunęła się długa szyja i rozległ się okrzyk przeraźliwy. Drgnąłem. Mój towarzysz był chłodniejszy odemnie.

— Już po nim! — rzekł. — Pochłonęło go bagno. Dwóch źrebców w dwa dni! Niebezpiecznie zapuszczać się na te trzęsawiska.

— Pan jednak przebywa je bez szwanku? — wtrąciłem.

— Tak; po długich wędrówkach znalazłem parę ścieżek bezpiecznych.

— Co panu zależało na przebycie tych błot?

— Widzi pan te wzgórza w oddali? To jak wyspy, odcięte od świata. Rosną tam rzadkie krzewy i fruwają niezwykłe motyle. Warto się trudzić po takie okazy.

— Ja spróbuję.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem:

— Niechże pana Bóg strzeże od takich prób! Miałbym pańskie życie na sumieniu! — zawołał. — Pan nie wróciłbyś z tej wycieczki. Mnie za drogowskaz służą rośliny.

— Cóż to takiego? — zawołałem.

Z oddali doleciało jakby szczekanie. Niepodobna było zmiarkować, skąd płynie ten głos okropny.

Stapleton spojrzał na mnie z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Dziwne te bagna, prawda? — rzekł jakby z dumą.

— Co to takiego? — spytałem.

— Włościanie powiadają, że to pies Baskervillów upomina się o zdobycz. Słyszałem ten

*) Mire — błoto.

głos parę razy, ale nigdy jeszcze tak wyraźnie, jak dzisiaj.

Dokoła nie było widać żadnego żywego stworzenia.

— Jesteś pan człowiekiem wykształconym. Wszak pan nie wierzysz w przesądy? Jakże pan tłómaczy sobie te głosy? — spytałem.

— Stwardniałe błoto, pękając, wydaje czasem takie jęki — odparł.

— Nie, nie; to był głos żywego stworzenia.

— Czyś pan kiedy słyszał wabienie błotnego ptaka, zwanego bąkiem?

— Nie.

— To okaz, zaginiony już, ale przetrwał może tutaj. Wszystko możliwe na takich bagnach. Nie zdziwiłbym się, gdyby ten głos był wabieniem ostatniego bąka w Europie.

— Bądź co bądź, w życiu mojem nie słyszałem podobnego dźwięku.

— Tak, to pustkowie zawiera dużo dziwnych rzeczy. Spojrzyj pan na to wzgórze. Co pan dostrzegasz?

Cały stok był usiany okrągłemi, foremnemi kamieniami.

— Co to takiego? — spytałem.

— To siedziby naszych czcigodnych przodków. Człowiek przedhistoryczny zaludniał często te bagna, a ponieważ od tych czasów nikt tu nie mieszkał, ich jaskinie pozostały nietknięte. Widzi się tam łoża, stołki, misy...

— Z jakiej epoki?

— Neolitycznej zapewne.

— Cóż ci ludzie robili?

— Paśli trzody na stokach gór, osuszali bagna, wyrabiali broń i sprzęty z kamienia. Tak, to bagno jest ciekawą kartą dziejową. Ale przepraszam pana...

Stapleton urwał nagle i podążył za jakimś okazem motyla. Ścigał go zapamiętale, podskakiwał, kręcił się w kółko.

Ubawiony tem przyrodniczem *intermezzo*, postanowiłem czekać na rezultat pościgu. W tem doleciał mnie znowu odgłos kroków. Obejrzałem się i zobaczyłem kobietę, zdążającą ku mnie.

Szła od strony Merripit-House. Domyśliłem się odrazu, że to jest miss Stapleton, bom słyszał o jej niepospolitej urodzie. Jakoż nawet w stolicy taka piękność musiałaby zwrócić uwagę a olśniewała wprost na tem pustkowiu. Byłem tembardziej zdumiony, że miss Stapleton stanowiła zupełny kontrast ze swoim bratem. O ile on był blady, szczupły, o tyle ona wspaniale rozwiniętą; o ile on niepozorny, o tyle ona wytworną. On miał włosy i oczy szare, płeć wyblakłą — ona była brunetką tak silną, że podobnych nie widuje się w Anglii. Miała rysy nadzwyczaj regularne, oczy ogniste, usta prześlicznie wykrojone i płeć z gorącym rumieńcem. Wydawała się, jakby cudownem, nadprzyrodzonem zjawiskiem na tle ponurego krajobrazu. Oczy jej biegły niespokojnie za bratem, przyśpieszyła kroku i zrównała się ze mną. Uchyliłem kapelusza i chciałem się przedstawić, lecz nie dała mi dojść do słowa.

— Wyjeżdżaj pan stąd... — szepnęła. — Wracaj natychmiast do Londynu...

Spojrzałem na nią ze zdumieniem. Oczy jej pałały, nóżka uderzała o ziemię.

— Po co mam wracać? — zagadnąłem.

— Nie mogę panu tego wytłumaczyć — odparła głosem przyciszonym — ale na miłość Boską, zastosuj się pan do mojej rady. Wyjedź pan stąd i nigdy tu nie wracaj.

— Ależ ja zaledwie przyjechałem...

— Dlaczego pan nie chce zrozumieć, że ta przestroga ma pańskie dobro na względzie? Raz jeszcze powtarzam: wracaj pan do Londynu zaraz, dziś wieczorem. Opuść te strony. Cicho!... Mój brat nadchodzi. Nie mów mu pan o tem ani słowa... Proszę mi zerwać parę storczyków z tej kępy traw — rzekła innym zupełnie głosem. — Mamy dużo dzikich storczyków. Lubię ten kwiat.

Stapleton zaniechał pościgu i wracał zdyszany.

— Skądże się tu wzięłaś, Beryl? — rzekł ostro.

— Widzę, że jesteś zmęczony — zagadnęła.

— Tak, goniłem motyla. Piękny okaz; spotyka się go rzadko, zwłaszcza na jesieni.

Mówił to lekko, ale patrzał na siostrę badawczo i groźnie.

— Zapoznaliście się państwo, jak widzę — rzekł. — Prezentacja już zbyteczna.

— Tak; prosiłam właśnie sir Henryka, żeby zerwał dla mnie parę storczyków.

— Więc bierzesz pana...

— Sądziłam, że to sir Henryk Baskerville — wtrąciła.

— Pani się myli — rzekłem. — Jestem tylko jego przyjacielem. Nazywam się Watson.

Rumieniec oblał jej śliczną twarzyczkę. Była widocznie zmieszana.

— Zaszło nieporozumienie... — rzekła.

— Nie mieliście przecież dużo czasu na rozmowę — wtrącił jej brat, przeszywając ją wzrokiem badawczym.

— Mówiłam do doktora Watson, jak do stałego mieszkańca tych stron, nie zaś do gościa. Ale może pan zechce nas odwiedzić w Merripit-House?

Przyjąłem zaproszenie. Droga była niedaleka, wiodła brzegiem łąki. Dom, przerobiony widocznie ze starej fermy, wznosił się wśród drzew niewielkich, otoczony był murowanym parkanem; wyglądał smutno i ponuro.

(C. d. n.)

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu". Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.